

Strach ma twarz

Mówią, że strach ma wielkie oczy.

To jednak nie jest prawda.

To kłamstwo.

Prawdziwy strach ma twarz.

Nie zawsze jesteś w stanie ją opisać. Czasem jest bezkształtna i rozmazana, a czasem aż zbyt realistyczna. Zmienia się. Ewoluuje. Zawsze jednak jest to twarz pełna bólu, bezradności i bezsilności.

Gdy przychodzi ci się mierzyć ze strachem przed nieznanym, a jakaś częśćka twojej podświadomości krzyczy, że jest to uzasadniony lęk o zdrowie, a może nawet życie twoich najbliższych... wtedy wiesz, że ten strach to nie tylko wielkie oczy. To nawet nie tylko ta twarz, która zdaje się twoim zniekształconym odbiciem w pękniętym lustrze. To coś znacznie więcej.

Strach ma serce, które w jednej sekundzie próbuje wyskoczyć z piersi, by po chwili całkowicie się zatrzymać. Jest surowy i pierwotny. Ma ciężki oddech. Zbliża się do ciebie powoli, patrząc ci prosto w oczy. Nie spieszy się. Wie, że i tak nie uciekniesz. Czasem milczy, jakby doskonale wiedział, że nie musi wydawać z siebie dźwięku, by jego obecność była aż za bardzo wyczuwalna. Czasem natomiast szepcze ci do ucha, a ty czujesz jego

zimny, paraliżujący oddech na swoim karku. Czujesz go pod skórą, pulsuje w twoich skroniach, czai się w każdym twoim spojrzeniu i drży wraz z twoimi napiętymi mięśniami. Zdaje się ścisnąć wnętrze lodowatą dłonią i jak ogromny głąz przyduszać piersi, uniemożliwiając ci swobodne oddychanie. Blokuje twoje gardło, sprawiając, że wypowiedzenie choć jednego słowa staje się nierealne. Wiesz, że nie możesz mu się poddać, ale jednocześnie nie jesteś w stanie go przewyciężyć. Jest silniejszy. Wie o tym doskonale. Ty też to wiesz. Ta walka nie jest równa i nigdy taka nie była. Nigdy też nie będzie równa. Na starcie jesteś w pozycji przegranej i nie możesz skapitulować.

Strach, który czułam tego okropnego dnia, zapamiętam do końca życia. Jak można bowiem nazwać uczucia, które towarzyszą matce na widok dziecka leżącego bezwładnie bez oznak życia? Jak można opisać związaną z tym niemoc? Jak można opisać tę paraliżującą bezsilność? Desperacko próbujesz zachować trzeźwość myślenia, ale przecież już dawno ją utraciłaś. Zniknęła wraz z tamtym krzykiem. Zniknęła wraz z tamtym widokiem, który będzie ci się śnić nocami do końca życia.

Nie ma mowy o zdrowym rozsądku w chwili takiej jak ta. Klęczysz na ziemi, chcąc złapać cały swój świat w ramiona i... czujesz, jak twoje serce pęka na miliony kawałków. Nigdy nie będziesz w stanie już ich ułożyć.

Zdaje ci się, że twoja dusza opuszcza ciało, jakby w pogoni za tamtą ulatującą duszą, chcąc ją zatrzymać, zanim jeszcze dokończy swoją ostatnią podróż. Nie chcesz jej puścić. Nie możesz. To jeszcze nie jest przecież ten czas. Nie możesz na to pozwolić. Nie taka jest przecież kolej rzeczy. Czujesz bezradność. Tak wielką, obezwładniającą bezradność, która wypala cię od środka – bezradność, jakiej nigdy w życiu jeszcze nie znałaś. Chcesz zrobić

wszystko, a nie możesz zrobić nic. Czujesz gotowość do czynów heroicznych, ale niewidoczna lina pęta twoje ciało. Ta walka nie jest bowiem twoja. Nie możesz nic zrobić. Jedyne, co możesz, to przyglądać się jej z boku z rozbitym na miliony kawałków sercem. Możesz zaciskać kciuki, gryźć wargi, modlić się, przeklinać, płakać, wyc i krzyczeć, ale... i tak ostatecznie nie wpuszczą cię na ring.

Ten krzyk

Ten dzień zupełnie nie różnił się od innych. Nic nie wskazywało na to, co się wydarzy. Żadnych znaków. Żadnych wskazówek. Żadnego ostrzeżenia. Zwykła codzienność.

Wstałam, jak zwykle wcześniej rano, by napić się w spokoju kawy. Dobra – wstałam, żeby napić się kawy, ale zrobiłam herbatę. Jeszcze trochę trzeba się jednak poświęcić, zwłaszcza teraz, kiedy nadciśnienie i problemy z sercem już mam potwierdzone, a stosik leków zdaje się patrzeć na mnie krzywo z domowej apteczki, gdy tylko zbliżam się do swojego ulubionego kawowego kubka. Włożyłam kalosze i płaszcz, bo jednak późnosierpniowe poranki są już chłodne. Usiadłam na huśtawce pod starą lipą i celebrowałam chwilę ciszy przerywaną ćwierkaniem ptaków, szelestem drzew i szumem potoku. Towarzyszyły mi cztery kamienie dumnie stojące obok drzewa – dwa duże i dwa małe, wreszcie wszystkie razem. Po wzgórzu biegały wesoło Kira i Luna, choć jeszcze chwilę wcześniej z irytacją nawarczały na mnie, że budzę je o tak wczesnej porze. W oddali odezwał się kogut, gdzieś pobiły się koty. Normalny poranek na moim zadupiu, które zdążyłam już chyba nawet pokochać, mimo tych wszystkich zaserwowanych niespodzianek.

Zero znaków i wskazówek.

Żadnego ostrzeżenia.

Nawet policjant przed strzałem musi dać sygnał ostrzegawczy.

Los jednak nie bawi się w zasady i dobre maniere – udowodnił to i tego dnia.

Wakacje powoli dobiegały końca. Już raptem dni dzieliły nas od nowego rozdziału. Sierpień wkrótce miał ustąpić, a na jego miejsce niecierpliwie wyczekiwał wrzesień. Wraz z nim miał rozpocząć się rok szkolny. Julia i Wojtek mieli pójść do nowej szkoły. Czekali ich nowe wyzwania, nowe przygody, nowi koledzy i nowi nauczyciele. Pawła czekała nowa praca. Ja zaś otrzymałam już kilka nowych zleceń i wreszcie znalazłam miejsce w domu, gdzie internet, o dziwo, całkiem nieźle działał, więc cieszyłam się, że będę miała czym zająć myśli, gdy pozostałych domowników nie będzie. Wciąż co prawda nie wiedziałam, czy chcę być dalej grafikiem, ale wiedziałam jedno – zanim się dowiem, co chcę tak naprawdę robić w życiu, muszę robić cokolwiek. Nie rzucę przecież pracy z dnia na dzień, by po prostu zacząć od nowa. Zwłaszcza w wieku prawie czterdziestu lat. Może gdybym miała jakiś plan na siebie, inaczej bym do tego podeszła. Na razie planu brak, a kredyt spłacać trzeba. Rodzina wkrótce się powiększy, a pieniądze na drzewach nie rosną (a szkoda, bo drzew to akurat w tym miejscu mamy pod dostatkiem, a niektóre nawet same mi do sypialni wpadają).

Już lepiej znałam też Karolinę bez maski. Wiedziałam, co to za kobieta. Wiedziałam, że ma swoje wady, ale i zalety. Wiedziałam wreszcie, że jest wartościowa. Że ma w sobie wiele do zaoferowania. Wciąż jednak nie wiedziałam, co chce ona ze swoim wartościowym życiem począć. Jak chce je wykorzystać? Tej

zagadki jeszcze nie rozwiązałam, ale wiedziałam, że się nie poddam. Na wszystko przyjdzie czas. Musi przyjść, prawda?

Odkąd Paweł przywiózł dzieci do domu, to miejsce zaczęło tętnić życiem. Tak długo o tym marzyłam! Julia z Wojtkiem powoli poznawali dom, działkę i okolicę. Przyzwyczajali się do nowej rzeczywistości i przygotowywali się do nowego rozdziału w naszym wspólnym rodzinnym życiu. Powoli też zaczęli pisać rozdziały swoich własnych żyć. Już bezpośrednio po przyjeździe przearanżowali oczywiście swoje pokoje tak, że po moich wcześniejszych działaniach niewiele zostało. To było do przewidzenia i Paweł niejednokrotnie mi to powtarzał, gdy godzinami je urządzałam, by wszystko dopiąć na ostatni guzik. Wystarczyło jedno popołudnie, by pokoje wyglądały zupełnie inaczej niż te, które tak zawzięcie przygotowywałam. Początkowo byłam trochę wściekła na nich, potem jednak zdałam sobie sprawę, że dobrze się stało. Potrzebowali tego, by dobrze się poczuć w nowym miejscu. By te pokoje faktycznie były „ich”, a nie stanowiły jedynie wyidealizowaną wersję mojej wizji. Pominę może kwestię bałaganu, wiszących wszędzie ubrań i stosów brudnych talerzy, które po opróżnieniu z jedzenia magicznie stają się zbyt ciężkie, by znieść je po schodach do kuchni. Na samą myśl, że za parę miesięcy dojdą do tego stopy pieluch i porzrzucone zabawki, miałam ciarki na plecach.

Ostatnie chwile wakacji dzieci spędzały głównie poza domem. Bawiły się w ogrodzie, biły się o huśtawkę. Po prostu cieszyły się życiem, a my obserwowaliśmy to z radością. Były trochę jak zwierzęta wypuszczone z klatki, które próbują wykorzystać każdą dostępną przestrzeń i możliwości, jakich nie miały wcześniej w zamknięciu. Patrzyłam na nich z przyjemnością, czując gdzieś głęboko w sercu, że ta przeprowadzka była dobrym wyborem.

Tematu wilków niestety wciąż jeszcze nie zamknęliśmy, dlatego nie pozwalaliśmy dzieciakom zapuszczać się za daleko od domu. Spotkało się to oczywiście z wielkim sprzeciwem i stało się powodem niejednej domowej awantury, zwłaszcza że nasze stanowcze „NIE” nie było wystarczające, bo kto jak kto, ale nastolatki potrzebują solidnych argumentów, w przeciwnym razie obalą każde twoje twierdzenie swoimi. My niestety nie mieliśmy logicznego uzasadnienia, a prawda w tej sytuacji nie wchodziła w grę. Nie chcieliśmy niepotrzebnie dzieci straszyć, bo zależało nam na tym, żeby dobrze się w tym miejscu czuły i pokochały je tak, jak my je pokochaliśmy. Jednocześnie jednak wiedzieliśmy oboje doskonale, że trzeba się mieć na baczności. Swego czasu przecież wielu z tych lasów nie wracało – kto wie, co będzie teraz, gdy wilki postanowiły się tu ponownie osiedlić.

Jak dzieci odnalazły się po przeprowadzce? Pewnie więcej na ten temat będę mogła powiedzieć później. Teraz dopiero przecierają szlaki, jak ja i Paweł na początku. Udało im się jednak nawiązać już pierwsze przyjaźnie. Najwięcej czasu Julia spędzała z dziewczynkami Nowakowskich, zwłaszcza że często nas ostatnio odwiedzały.

– Mamooooo! – Piskliwy krzyk Julki przerwał moje rozmyślenia. – Mamoooo! Ten głupol znów mnie przeżywa! Powiedz mu coś!

– To nieprawda! To ona się mnie czepia! – zawtórował jej Wojtek. – Wiecznie się czepia, a to ona zaczyna, a potem zwala na mnie!

– Karolina! – dorzucił swoje trzy grosze Paweł ze skrzywioną miną. – Karolina, zrób coś z nimi, bo ja zwariuję!

Poranne tornado nadeszło, a wraz z nim na mojej twarzy pojawił się... uśmiech. Brakowało mi tych wspólnych poranków, tak nieidealnych i tak... irytujących. Brakowało mi tego gwaru w domu. Tej normalności, której nie pokazuje się

w wyidealizowanych social mediach. Bałaganu w kuchni, dziecięcych przepychanek, a nawet tego porannego rozdrażnienia Pawła i tej jego miny skrzywiono-niewyspanej. Brakowało mi po prostu życia. Zwykłego rodzinnego życia, które jest dalekie od idealności, ale dzięki temu właśnie jest wyjątkowe.

Czas mija bardzo szybko, gdy człowiek nie zastanawia się nad tym, jak doprowadzić do perfekcji spędzane z rodziną chwile i po prostu celebruje każdy moment, przyjmując go takim, jaki jest. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy z poranka zrobiło się popołudnie, a potem późne popołudnie. Paweł rozpałił ognisko, które obiecaliśmy dzieciakom już dawno, ale nigdy tak naprawdę nie było na nie odpowiedniego momentu. Ja przygotowywałam jedzenie i zносиłam je na stół ustawiony pod drzewem, a w przerwach wsłuchiwałam się w śpiew ptaków i trzaskające w ogniu drewno.

Słońce grzało intensywnie jak na końcówkę sierpnia, więc warto było wykorzystać piękną pogodę. Kątem oka obserwowałam dzieci. Julia oczywiście okupowała huśtawkę pod starą lipą, a Wojtek po długich kłótniach z siostrą ostatecznie wspiął się na drzewo i – siedząc na jednym z jego wysokich konarów – czytał swoją ulubioną książkę. Ostatnio było to jego ulubione miejsce. Śmiem stwierdzić, że nawet bardziej niż ta huśtawka, o którą wечно kłócił się z siostrą. Potrafił tak siedzieć godzinami, czytając książkę lub po prostu patrząc przed siebie na łąki za wzgórzem. O czym wtedy myślał? Nie wiem. Wiedziałam jednak, że to miejsce dobrze mu robi. Wszystkim nam dobrze robi. Czułam to. Po prostu to czułam.

Paweł, Julia, Wojtek, ja i dwa małe serduszka. Wszyscy razem w miejscu, które wreszcie, po tylu trudnych latach, stało się prawdziwym domem. Miło było patrzeć na moją rodzinę. To właśnie takie chwile sprawiają, że człowiek czuje się spełniony

i wie, że nie potrzebuje nic zmieniać, by czerpać z życia garściami. Bogatym nie czyni cię przecież to, co posiadasz, a to, co i kto cię otacza i uszczęśliwia. Ta rodzina, tak cudownie niedoskonała. Ten dom, którego skrzypiąca podłoga pamięta śmiech i łzy pokoleń. Ta stara stodoła z dziurawym dachem. Wzgórze ze starą lipą. Cztery kamienie dumnie stojące na wzgórzu. Ludzie z wioski. Jestem bogata. Cholernie bogata.

Gdybym tylko wiedziała wtedy, co stanie się za chwilę... Gdybym mogła zareagować wcześniej... Zrobić coś... Zmienić bieg wydarzeń...

Nie mogłam niestety.

Nikt z nas nie mógł, bo nikt nie był świadomy tego, że ta beztroska chwila radości poprzedza tę, która na zawsze odmieni nasze rodzinne życie.

Przygotowywałam kiełbaski na ognisko i podsłuchiwałam rozmowy kur, kaczek i gęsi babci Zosi. Wtórowały im ożywione dyskusje kóz oraz wiele innych dźwięków przyrody.

Nagle to wszystko się urwało.

Ten przyjemny dla ucha gwar został w jednej chwili zagłuszony przez przeraźliwy, przesywający ciało niczym włócznia... krzyk. Potem uderzenie. Głuchy, ciężki dźwięk, który do tej pory odbija się echem w mojej głowie. Znow krzyk. Tym razem jednak piskliwy, wręcz histeryczny, rozrywający, pełen paniki i strachu.

Zerwałam się na równe nogi, porzucając przygotowywane na ognisko kiełbaski. Wiedziałam już, że stało się coś strasznego. Czułam to całym swoim ciałem. Każdą komórką tego ciała. Popatrzyłam z przerażeniem w stronę starej lipy. Julka nie siedziała już na huśtawce. Stała skamieniała i krzyczała histerycznie przez łzy. Pod nią, na ziemi, niedaleko starej lipy leżało nieruchomo bezwładne ciało.

– Wojtek! – wykrzyknęłam, nie mogąc wydobyć z siebie już ani jednego słowa więcej.

Pobiegłam w stronę wzgórza, nie zwracając uwagi na wysokie trawy, kamienie czy leżące gdzieś konary. Biegając, zdążyłam chyba jeszcze zawołać Pawła, choć szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy faktycznie to zrobiłam. Gdy dobiegłam na miejsce, Wojtek leżał nieprzytomny, a obok niego spora gałąź i wciąż otwarta książka, jakby w oczekiwaniu na dalszą lekturę.

Uklęknęłam na trawie obok syna i... zamarłam. Nie wiedziałam, co robić. W jednej chwili cały świat mi się zawalił. Na przemian robiło mi się gorąco i zimno. Po moich plecach przebiegały ciarki przypominające bolesne kopanie prądem. Zrobiłam się cała mokra od potu, a każdy mój mięsień drżał jak na jakiejś przeklętej platformie wiertniczej. Serce mi waliło, a oddech wyrывał się z piersi, chcąc krzyczeć z bólu. W głowie mi wirowało i czułam, że zaraz albo zemdleję, albo zwymiotuję.

– Wojtek... – powtórzyłam cicho, nie mogąc opanować łez.

Mój syn nie odpowiadał.

Leżał bezwładnie.

Cicho.

Spokojnie.

W wyrazie jego twarzy nie było bólu. Nie było strachu. Nic nie było. Zupełnie nic. Jakby jego w tym ciele też już wcale nie było. Bezwiednie odgarnęłam mu kosmyk włosów z czoła. Zawsze, gdy to robiłam, spotykałam się z udawaną irytacją, wzdrygnięciem i cichym mruknięciem. Tym razem nic mi nie odpowiedziało.

Zaledwie kilka kroków od nas stała wciąż przerażona Julia. Już nie krzyczała. Jej twarz była blada, a po policzkach obfitymi strumieniami leciały łzy. Wyglądała jak spłoszone zwierzę, które boi się wykonać jakiegokolwiek ruchu. Huśtawka, na której jeszcze przed

chwilą się bawiła, wciąż lekko się poruszała w przód i w tył, jakby świat nadal nie zauważył, że beztroska chwila zamieniła się w pełną grozy, bólu i bezsilności. Dłonie Julki były zaciśnięte mocno w pięści, a oczy wydawały się nienaturalnie wielkie.

– Mamo... – odezwała się wreszcie cicho, jakby bojąc się swojego głosu. – Mamo, on się nie rusza...

Nie wytrzymałam. W tej jednej sekundzie i z moich oczu pociekły łzy.

Nie rusza się.

On się nie rusza.

Chciałam wziąć syna w ramiona. Przytulić. Zabrać od niego całe to nieszczęście i przejąć na siebie. Chciałam zrobić cokolwiek!

– Karolina! – krzyknął Paweł zza moich pleców. – Nie ruszaj go! Może mieć uraz kręgosłupa!

Skamieniałam jeszcze bardziej. Mój mąż, jak zwykle myślący bardziej trzeźwo niż ja w takich sytuacjach, miał rację. Przecież Wojtek spadł ze sporej wysokości! Miałam gdzieś z tyłu głowy, jak należy udzielić pierwszej pomocy w tym przypadku. Jak przez mgłę przypominałam sobie słowa ratownika na jednym ze szkoleń, by w przypadku podejrzenia urazu kręgosłupa zostawić poszkodowanego w pozycji zastanej, upewniając się, że oddycha i nie krwawi. Wtedy było to dla mnie logiczne. Teraz nie. Chciałam po prostu przytulić własne dziecko i przejąć na własne ciało jego ból i cierpienie. Czy to tak wiele? Chciałam po prostu wziąć syna w ramiona, by czuł, że jestem z nim. Chciałam swoim ciałem zdjąć z niego ciężar tego nieszczęścia. Chciałam zrobić cokolwiek, a nie mogłam zrobić nic.

Paweł podbiegł do nas i zasapany przystąpił do tego, czego ja nie zrobiłam, choć przecież powinnam była. Zaczął sprawdzać, czy Wojtek oddycha, a ja klęczałam obok bezczynnie, próbując

wyczytać cokolwiek z twarzy męża. Bałam się tego, co mogę zobaczyć, ale jednocześnie pełna nadziei obserwowałam, jak w skupieniu sprawdza czynności życiowe i udziela synowi pierwszej pomocy. Po chwili jego twarz się rozluźniła. Zobaczyłam na niej ulgę, która i mi się udzieliła. Oddycha. Wojtek oddycha. Odwróciłam się w stronę Juli, a ona – jakby czekając niecierpliwie na ten sygnał – podbiegła do mnie i rzuciła mi się na szyję z płaczem.

– Spokojnie, Jula... – wyszeptałam cicho. – Spokojnie, oddycha...

Trwałyśmy tak w tych objęciach, obserwując dalsze działania Pawła. Jego twarz napięła się, nawet bardziej niż podczas spotkania z wilkiem. Jednak mimo tego stresu, strachu i bólu działał. Wiedział, co robić w takich przypadkach, i po prostu to robił, a ja... Ja klęczałam wciąż na tej trawie z Julką wtulającą się w moje ramiona i... nie potrafiłam się ruszyć. Nawet nie wiem, czy oddychałam. Zapomniałam chyba, jak się oddycha.

Oczekiwanie na pogotowie zdawało się trwać wieki. Z późniejszych rozmów z Pawłem wiem, że karetka przyjechała w miarę szybko, bo akurat była w okolicy, raptem dwie wioski dalej. Dla matki, która patrzy na bezwładnie leżące na ziemi ciało dziecka, to „w miarę szybko” ciągnęło się w nieskończoność.

Gdy ratownicy zabierali mojego syna do karetki, czułam... ja nawet nie wiem, co czułam! Nie da się opisać uczuć, które towarzyszą wówczas matce. Ktoś próbował chyba wtedy ze mną rozmawiać. Pytał o Wojtka, alergię, okoliczności tej sytuacji... Byłam jednak w tak wielkim szoku, że nie dałam rady wydusić ani jednego słowa. Klęczałam na tej trawie, jak jakiś cholerny posąg, trzymając Julkę w ramionach i mając wrażenie, że cała ta sytuacja dzieje się poza mną. Jakbym była od niej odcięta i obserwowała ją z boku, jako świadek.

– Karola, musimy jechać! – Paweł wyrwał mnie z tego bolesnego bezruchu. – Jedziemy za karetką, chodźcie w tej chwili do samochodu!

Czułam się tak okropnie oderwana od rzeczywistości, że wszystkie następne czynności wykonywałam mechanicznie. Podniosłam się z ziemi, popatrzyłam na huśtawkę, złamany konar starej lipy i cztery kamienie stojące obok. Wciąż obejmując Julę, ruszyłam w kierunku samochodu.

Zdażyłam jeszcze podnieść z ziemi książkę Wojtka, choć w tej całej tragedii miała ona przecież najmniejsze znaczenie. *Harry Potter i Kamień Filozoficzny*. Jakżeby inaczej. Wojtek czytał całą serię w kółko, jak zapętłony. Pamiętam, ile razy proponowałam mu, by sięgnął po coś innego – przecież tyle jest pięknych książek, zwłaszcza dla nastolatków. Już nawet nie wspomnę, ile razy kupowałam mu inne pozycje, zabierałam go do biblioteki i do księgarni. On jednak od paru lat wciąż zaczytywał się w *Harrym Potterze* i mogłam sobie na próżno zdzierać gardło, więc w końcu po prostu odpuściłam, licząc na to, że w odpowiednim czasie sam zanurzy się w innym uniwersum. Gdy zamykałam książkę, mój wzrok przykuło zdanie: *Niewinni są zawsze pierwszymi ofiarami. (...) Tak było przed wiekami i tak jest teraz*. Nie wiem dlaczego, ale wstrząsnęły mną te słowa. Bardzo mną wstrząsnęły.